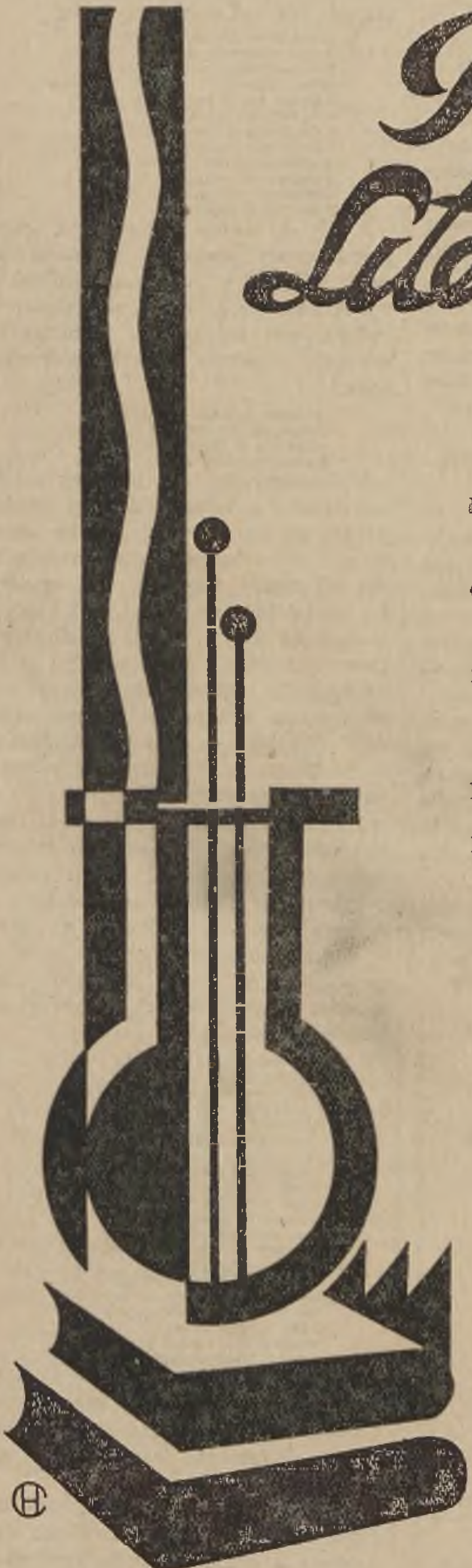
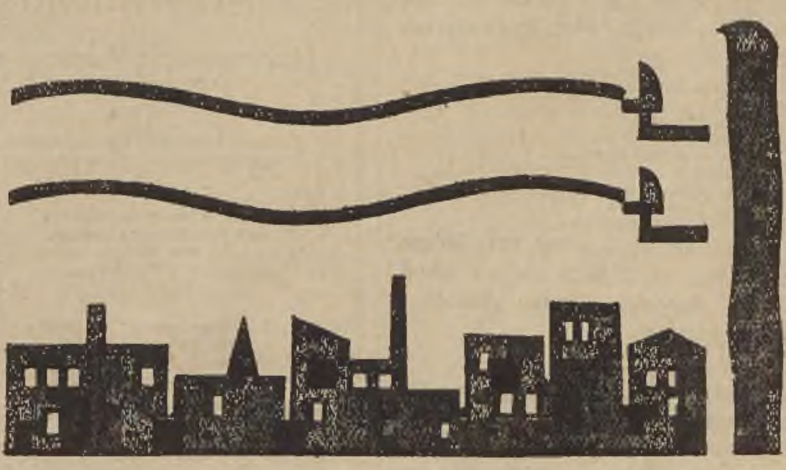
Rozmaitości Literackie i Naukowe





TREŚĆ



PRZY KOMINKU

Żniwa ukończone i wkrótce po dworach, staropolskim obyczajem, odbywać się będą huczne dożynki, na których dziedzic tańcuje z dziewczyną, dziedziczka wywija z fornalem, — wszyscy w pięknej zgodzie, obyczaj to bowiem prastary i przed wszelkiemi dzisiejszemi nowinkami powstały.

Różne improwizują śpiewki, ochocze, jak obertasy i hołupce. Mniej w nich często chodzi o sens, niż o rytm i rym, na które czułe jest ucho naszego wieśniaka.

Najbardziej urozmaicone śpiewki pochodzą z ziemi krakowskiej, gdzie lud dorodny i muzykalny. Śpiewane są na nutę miejscowego krakowiaka.

Oto przykłady tych skocznych śpiewek, do których same nogi podrygują z uciechy:

Cztery mile lasu
jadę bez popasu,
piąta mila pola,
tam dziewczyna moja.

Albo:

Jechałem do Krakowa,
złamała się bryczka,
kochałbym cię, panno,
aleś chimeryczka...

Albo:

Dolina, dolina,
przy dolinie górka—
podobała mi się
Maryny figurka.
Wszystkie ryby wyszły,
jeden karaś został,
proś Boga dziewczyno,
żebym ciebie dostał.
Krakowiaczek biedny
zakochał się w jednej,
a ja dla rozrywki
kocham wszystkie dziewki,,.

A lubią też sypać komplementem jurne krakusy, rymów dobierając, aż sypią się, jak iskry od podkówek. Jeździły chłopaki po całym świecie, widziały nie jedno, lecz milsze im nad wszystko, co swoje, więc śpiewają tak ochoczo:

Oni mają Jamsterdamy
Roterdamy
Wiednie, Budy,
Brandebudy
i inne podobne cudy—
my jedną Warszawę
i nasz śliczny Kraków,
śliczne krakowianki,
ślicznych krakowiaków...

Aż dusza się raduje na ten śmiech niefrasobliwy, aż myśleć się nie chce, że dziś — dożynki, a jutro przeróżne polityczne platformy...

*

„Lafiryndyzm“ i „baragolstwo“ — cudaczne terminy, pomysłu zapomnianego już dziś autora, S. Witwickiego, który przypisuje je Polakom z pierwszej połowy ubiegłego stulecia.

Nowinki nadeszły z zagranicy, które chętnych naśladowania znajdowały, przesadzających ton i manierę, udających wykwintne obyczaje, „płynące z przemycanej, a nie przyswojonej mądrości“. Trzeba więc było znaleźć termin odpowiedni na te maniery, „wyraz także czczy, niewiedzieć jaki, do niczego niepodobny, a niby wykwintnie i z cudzoziemska brzmiący“. Znaleziono: „lafiryndyzm“, „lafirynda“ (bez różnicy płci).

I śmiał się dobroduszny kontuszowiec nad głupotą samego terminu, zapominając często, iż sam należy do wprost krańcowego obozu. „baragołów“ karczemnych i ordynarnych obyczajach.

Lafiryndy i baragoły!

Mój Boże, jak się historja powtarza...

*

I znów wracamy do innego zapomnianego autora, F. Morawskiego i jego przemiłych opisów z „Dworca mego dziadka“. Radzimy całe przeczytać, lektura ta bowiem tak kojąco działa, jak najlepszy narkotyk na nasze skołatane nerwy.

Inaczej się żyło w „Dworcu mego dziadka“, choć burze przelewały się krańcowego obozu „baragołów“ o karpa stuletnia lub królewska topola padła nad cichemi stropami, choć niejedna li choć blizny od wypadku do wypadku nie zdążyły się zasklepić.

Dworzec na wzgórku, skromny i drewniany, na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni, gdzie lubił przesiadywać jegomość,

„gdzie mawiał swój różaniec,
dawne czasy marzył,
i dusząc buteleczkę,
z swym proboszczem gwarzył!...

Stamtąd lubił jegomość obserwować łany, łąki, lasy, błonia i przysłuchiwać się dzwonkom przeciągającej trzodki, dostrzegać nadjeżdżającego gościa, dla którego rad był nieba przychylić,

„Tam wreszcie widział zdala
liczne chłopców roje,
jak na środku wsi Barskie
udawały boje.
Patrząc on na te żwawe
młodych lat wyskoki,
i śmiał się do rozpuku.
i trzymał za boki,
a dzielnego do siebie
przyzwawszy wojaka,
klepał go po ramieniu
i wścibił groszaka.“

A gdy do dworu wrócimy i, próg przestąpiwszy, staniemy w obszernej sieni, strojnej w zdobycze myśliwskie, wzrok nasz się spotka z najpiękniejszą ozdobą. nad wszystkiemi górującą — wieńcem żniwiarzy, darem dożynkowym,

„którym dziarski parobczak
znojne strojąc skronie
zdaje się w starej Piasta
pysznić się koronie “

Wchodzimy do izby jadalnej, najobszerniejszej z komnat dworku, podziwiamy pękaty kredens, „gmach drewniany“, co w czasach pono pradziadka był już zwany antykiem, usta otwieramy przed kolekcją szkieł, z których groźnie na nas wyzierają kielichy-potwory: „Syndyk“, „Naparstek“ i „Corda fidelium“. Ogromne ognisko komina, co „paszczą swą połykał drzewa sążeń cały“. Tu lubił dziaduś pykać „turka“, w płomieniach strzelistych wypatrując dawnych wspomnień.

Najpokaźniejszym sprzętem w izbie był olbrzym-stół dębowy, co teatrem był uczt niezliczonych, a ile związał przyjaźni, ile godził sporów o sądy, o wybory i projekty sejmowe, że nawet w gorączce dyskusji o jadle i piciu zapominano. Aż doszło do zgody i gospodarz wzniósł kielich i wykrzyknął: „kochajmy się“

„Nikt się tam od kielicha
wyślizgnąć nie zdołał,
próżno wzniósł go do góry
i o litość wołał;
niczem mu Pan, ni sługa
zbłagać się nie dali,
przez głowę mu, przez ramię
strugi węgra lali,
a gdy widząc, że próżno
dąsał się i bronił
i nagle go usunął
i aż pod stół schronił.
Już tam zdradny kozaczek,
osadzony zcicha,
czekał go z nową flachą
i dolał kielicha —
tak iż wzięty w dwa ognie
i ten szturm pijaczy
wzmógł się, kielich przeżegnał
i wypił z rozpaczy.“

Hej! co animuszu było w tych naszych „dziaduniach“, co, przedmurzem Europie stojąc, tą samą w potrzebie okazywali fantazję, jaką napełniali mury cichych dworków.

Inne dziś czasy, inni ludzie, jeno fantazja została junacka, odwieczne dziedzictwo, a niech „potrzeba“ się okaże — i my też staniemy do apelu, wszyscy i w zgodzie.

Przymówki

Na świętego Bartłomieja (15 sierpnia)

Bartłomieja cały wrzesień
naśladuje — i z nim jesień...

Bartłomiej ci zwiastuje,
jaka jesień następuje,
i czy w przyszłym latku
dożyjesz dostatku...

Jak Bartłomiej nie zasieje,
nie pokropi idzi...
to się zboża, to się żyta
mało w polu widzi...

Po świętym Bartłomieju
z łyżki dżdżu (deszczu) ceber oleju
[(błota)...

Susza na świętego Bartłomieja,
mroźnej zimy nadzieja...

Co uczyniła Rosja sowiecka z miłości...

Boże drogi, co uczyniono z miłości w państwie komunistycznem!

Gdy z dawnemi tradycyjnemi w Europie pojęciami przystępuje się do owych wielkich zmian, gdy się najpiękniejsze z ludzkich uczuć widzi odarte ze swej poezji, romantycznego piękna i tajemniczości, doznaje się prawie uczucia nienawiści dla systemu, którego zimna trzeźwość gotowa jest wyrzec się wszelkiego piękna.

Zmiana, jaką komunizm wywołał w miłości, objawiła mi się w całej rozciągłości po raz pierwszy, kiedym w Moskwie poszedł do kina. Dawano film amerykański, w którym młody, bogaty szef pragnie poślubić swą stenotypistkę, ona zaś po dłuższym oporze zgadza się, albowiem w życiu jej istniał już jeden mężczyzna, który też następnie w ciągu podróży poślubnej się zjawia. Zazdrosny małżonek chce zabić swą żonę, dawny kochanek siebie, wszystko jednak kończy się szczęśliwie. Film miernej wartości, nie gorszy jednak od wielu innych.

Jak jednak reagowała publiczność?

Słyszałem wokoło siebie wykrzykniki:

— Śmieszne, głupie, absurdalne! Czyż żona winna była mężowi zdawać sprawę ze swej przeszłości? Czyż on, ten kapitalista, był może niewinnym barankiem? I wogóle tyle hałasu o nic!... Wszak z temi pojęciami „skończono" już dawno!...

Przykład inny!

Po przeczytaniu różnych autorów sądziłem, że w Moskwie ujrzę obrazy, gorszące zachodnią wstydliwość. Przyznaję się, że byłem rozczarowany. Moskwa zdaje się być najcnotliwszem miastem na świecie. Po ulicach nie kręcą się ćmy nocne, jak w Paryżu i Berlinie, humorystyczne zaś ilustrowane pisemka Sowietów są poprostu nieprzyzwoicie przyzwoite, szczerze mówiąc, nudne...

Jeden z pierwszych wieczorów spędziłem w dancingu. Nie tańczono tam jednak ani schimmy, ani charlestona, ani fox-trotta.

— Czemu tu nie tańczą modnych tańców? — zapytałem.

— Wodzowie nasi zabronili — brzmiała odpowiedź.

— I słusznie! Naród nasz jest pierwotny, a tańce te zbyt zmysłowe. Młodzież, która nie usłuchała zakazu, osadzona została dla uspokojenia na pewien czas w więzieniu.

Tak, niema tu żartów, gdy chodzi o rozpustę.

Ale co też uczyniono z miłości? Wszędzie na ulicach, w pięknych parkach i teatrach widywałem młodych ludzi obok panienek, lecz nie dostrzegałem nigdzie miłosnych lub zwycięskich spojrzeń. Uderzyło mnie to zwłaszcza pewnego letniego wieczoru, kiedy księżyc uśmiechał się łagodnie, a w powietrzu unosiła się woń kwiatów. Ławki, ocienione w parku, stały puste, a młode pary przechadzały się po alejach, wiodąc poważne i namiętne spory.

O czem?

O ostatniej konferencji Radka, o Zinowjewie, o wyborach... Gdy wobec znajomego studenta, prawnika o siwiejących skroniach, wyraziłem zdumienie z tego powodu, odparł z ową powagą, która człowieka do rozpaczy doprowadza:

— Myli się pan najzupełniej! Pomiędzy młodzieżą przez pana obserwowaną, jest bardzo dużo legalnych i nielegalnych par. Jesteśmy dalecy od purytanizmu. Ale — dodał po chwili — zmieniliśmy, naturalnie, nie jedno. Postawiliśmy przedewszystkiem miłość na należnem jej miejscu. Miłość romantyczna, sentymentalna, to wszakże tylko wytwór wyobraźni dyletanckiej burżuazji! Uważamy miłość za funkcję naturalną, za proces „biochemiczny", jak się ktoś wyraził. Zadawalnia się instynkt, gdy zachodzi tego potrzeba, ale nie pozwala mu się opanować życia. Stawia się go poniżej szacunku i przyjaźni, jakie powinny istnieć pomiędzy mężczyzną a kobietą. Dla wielu naszych autorów miłość była chorobą, na którą przecież nareszcie znalazło się lekarstwo: pracę socjalną.



Najchętniej byłbym tego kategorycznego młodzieńca trochę zboksował!

Nie uczyniłem tego, rzecz prosta, ale odparłem:

— Nie sądzę, aby ten czy ów „regime" polityczny był w stanie zmienić serce ludu. Czyż nie jest to już ojczyzna Anny Kareniny?

— Och, nie mówię — przerwał — aby tragedje namiętności lub samobójstwa „a la Werter" znikły z powierzchni ziemi rosyjskiej, ale zdarzają się one rzadko. Cóż wywołało miłość i śmierć Anny Kareniny? Przedewszystkiem próżniactwo bogatej kobiety, które pozwoliło jej przemyśliwać nad sobą, następnie surowość obyczajów towarzyskich, które piętnowały miłość nielegalną, uczyniły z niej zbrodnię i nie pozwalały na rozwód. Dziś rozbiliśmy łańcuchy — wrota szeroko otwarte. Czy tak nie jest lepiej?

Tak, prawda, jednym silnym zamachem udało im się zgnieść wszystko.

Gorącą tęsknotę kochanka, marzenia i szał radosny kochanki, źródło poezji pokoleń, wszystko to znikło. Żelaznemi palcami pochwyciła władza małego bożka Erosa, niebezpiecznego swego rywala, pozbawiła go strzał i wieńca z róż i przykuła do drzewa.

Tam żyje uwięziony Eros i porusza biednemi skrzydłami, które straciły barwę i boski rozmach. Miłość, fantazja, czar marzenia i wyobraźni — wszystko to zostało upaństwowione...

Jakże nam żal tej młodzieży!

Z rymów i rytmów

KSIĄŻĘ JÓZEF

Marszałku, przysięgałeś na biel pióropusza,
Na modły zakuwanych przy armat lawecie,
Że obronę Honoru znajdzie Polski Dusza
W Twojej szabli i w Twoim raszyńskim bagnecie,
Że, złatawszy sztandary zwycięstw imionami,
Pójdziesz Wolność zdobywać i Cześć sztandarami.

Poszedłeś... A w bitewnej rozpaczliwej męce
Zwiądł pyszny kwiat z „Pod Blachy", dar cudnej berżery
Zakochanej w ułańskich wiosen, snów piosence,
Co jaskółką leciała nad brzegi Elstery,
Gdzie, unosząc wawrzynu wianek zakrwawiony,
Szarżowały błękitnych ułanów szwadrony.

Tam... orły poczerniały rdzą w działowym pyle,
Cesarza grenadjerzy Śmierć sklęli w jej progu,
Lecz ty, Książę, poszedłeś na te Termopile,
Aby Honor Polaków zdać Ojcom i Bogu.
Więc czcząc dzisiaj odwagi dumną Twą potęgę,
Bataljony powtórzą Najświętszą Przysięgę.

KOŚCIUSZKO

Powrócił... z racławickim powróci pałaszem,
Serc krzykiem przywołany z podniebnego szlaku,
I jeszcze Go ujrzymy przy ognisku naszem
Na drzemiącym wśród sosen niemeńskich biwaku. —
— Kto idzie? — Za szpalerem, siechnowicką dróżką,
Ku białym ścianom dworu poszedł On: Kościuszko.

Wśród orłów, z gniazd przygwiezdnych, padł grom, błyskawice
W Fer=Irwins tryskające z chmurnych dymów kiru;
Żałobę chmur wichr rzucił na Maciejowice,
Ku nim Hetman Duch schodzi z niebiosów szafiru...
— Kto idzie? — „Wódz. — Zakląłem Boga na mą bliznę,
By jeszcze raz pozwolił bić się za Ojczyznę".

— — — — — — — — — — — —

Zwyciężył Duch Hetmana, wstrząsnąwszy serc harfą,
I godnie wynagrodził kosynierskie rany,
Krwi strugą dekorując, jak orderu szarfą,
Potargane siermięgi i białe sukmany...
— Kto idzie? — „Wódz. — Powracam do słońc, gwiazd namiotu"...

ŻOŁNIERZ NIEZNANY

Już ostatnią miał kulę, proch zamokł w panewce,
Ocalenie jedyne w najkochańszej broni:
W lancy, skrytej w czerwono-białej chorągiewce,
W lancy, która za chwilę purpurą się spłoni,
Bo pojedzie z Mohortem w stepowe burzany
Jego stary, serdeczny druh: Żołnierz Nieznany.

Bohaterom, gardzącym niewolą wystarczy:
W lufie kula ostatnia, zmokły proch w panewce.
Z listków brzozy firanka ziarnkiem kuli warczy;
Mgłą błękitną spowici ziarenek-kul siewce;
Mgieł lawinę rozcina miecz powyszczerbiany:
To Godebski, z nim wierny druh: Żołnierz Nieznany.

Szły na Wolę gwardyjskiej ćmy, hord regimenty,
Gdy ostatni już nabój czerniał w polskiem dziale.
Rozperliły się dzwonów pełne drżeń lamenty,
Nie zapłakał Sowiński daremnie po strzale:
Wsparł się nogą drewnianą o ołtarz złamany,
Obok stanął dozgonny druh: Żołnierz Nieznany.

REYTAN

Na tym ogromnym progu z tatrzańskiego złomu
Klęknie z Boga rozkazu wróg przestrachem siny!
Jakże wyniosłe progi Lechickiego Domu,
Warownego głębiną Motławy i Dźwiny!
O kopiec Wandy wsparty i kurhan podolski —
Oto jest — Próg Reytana... Oto jest — Próg Polski.

Wierzbiny srebrnolistne sadź, jak słup graniczny,
Zatroskany szlachcicu, Królów swych Burgrabio!
A strzeż się, żagiew wici śląc w kraj okoliczny:
Te płomienie ci gości drapieżnych przywabią.
I gdy się spojrzysz z ganka na step ukraiński,
Ślepia wilcze zabłysną... głodny krwi Poniński. —

Wyginą zdrajcy!... Jednak brzoza rozpłakana,
Jednak, granic słup, wierzba, z liśćmi zszarganemi...
Ach, chcą nędznicy płatni przejść ten próg Reytana,
Barbarzyńcom sprzedając garść mokrej łzą ziemi.
Reytanie! Ty, strażując pradziadów krwawicę,
Uproś Ducha-Gołębia niech da grom-szablicę!

Miłosz Gembarzewski

RAOUL AUERNHEIMER

Idjota...

Na ławce w kancelarji sądowej siedzieli obydwaj Franciszkowie Hołubow, ojciec i syn i czekali na zjawienie się panów sędziów. Franciszek Hołubow starszy, z zawodu stróż uliczny, był małym pokrzywionym staruszkiem o okrągłej czaszce, pomarszczonej twarzy, małych zabitych oczkach i szerokich wąskich wargach, które mając wygląd otworu w skarbonce śmiały się bezustannym idjotycznym śmiechem. Syn, silniej zbudowany niż ojciec, z powołania marynarz przez długie lata służył na okręcie i niedawno powrócił do domu. Z ogorzałej jego i starannie wygolonej twarzy, którą poorały wiatr i słońce, trudno było wiek wyczytać; mógł mieć równie dobrze trzydzieści jak i pięćdziesiąt lat. Obracał w ręku okrągłą, bronzową chusteczkę i nosił wysokie rybackie buty, z których rozchodziła się woń potowa.

Do sądu przyszedł właściwie tylko, by towarzyszyć ojcu, który dostał wezwanie, aby dla podniesienia ducha stawił się przed wysoką sprawiedliwością. Dziś właśnie odbyć się miała sprawa.

Stary Hołubow, jak wszyscy stróże uliczni, zbyt często zaglądał do butelki i od niejakiego czasu zdradzać począł ślady demencji mózgowej i zidjocenia.

Ponadto w ostatnich czasach cierpiał na halucynacje. Wydawało mu się wówczas, że w okolicy Tryjestu wpadł do morza i bez ratunku musi utonąć.

Źródłem stale powracającego wyobrażenia, było opowiadanie młodszego Hołubowa, któremu się rzeczywiście taki wypadek zdarzył, wskutek czego też wyszedł ze służby. Wszelki trud jednak, by staremu to wyperswadować, był daremny. Skoro tylko dostawał napadu, poczynał krzyczeć i wić się pod okropnem wrażeniem, że tonie, A im więcej zaś się obawiał, tem mocniej się upijał.

Pewnej nocy podniósł wielki alarm, że tonie w łóżku, zebrał pościel, wyniósł do sieni i tam spędził resztę nocy. Nad ranem znaleźli go sąsiedzi i zawiadomili policję, skutkiem czego otrzymał dzisiejsze wezwanie.

Z pochyloną naprzód, trzęsącą się głową, z krótkiemi, dygocącemi nóżkami przełożonemi jedna na drugą, siedział stary w kącie ławki i śmiał się dobrodusznie, z wyrazem serdecznej uciechy. Obok niego milczący usiadł syn, trzymając w ręku wezwanie ojca. Gdy kancelista naciągał starego i od czasu do czasu strzelił dowcipem, marynarz śmiał się hałaśliwie, ucieszony widać wielce idjotyzmem ojca.

Kancelista w szarem ubraniu, o szarej barwie włosów, oczu i twarzy, biegał jak mysz pomiędzy aktami. A był to filut nielada. Niedoszły student, siedzący wbrew swej woli na urzędzie usiłował sobie czas skracać wesołemi kawałami. Zwłaszcza z djalogów z idjotami dużo czerpał humoru, ale i na rachunek przełożonej władzy chętnie sobie pozwalał na żart, o ile to nie groziło wylaniem z urzędu. I dziś zdawało się, że coś knuje w mózgu, gdyż podczas kiedy się ze starym przekomarzał, grzecznie ofiarując mu kałamarz do wypicia i poważnie zapytując, czy cały zapas rumu sprowadza z Jamajki, czy też zapasy skromnej wysepki na potrzeby jego nie wystarczają, przerwał nagle i z surową miną urzędnika zapytał po raz trzeci: „A więc Franciszek Hołubow — obaj to samo nosicie imię i nazwisko"? A gdy marynarz skinieniem głowy potwierdził, właśnie miał dowcipną dać odpowiedź, gdy w drzwiach ukazał się sędzia okręgowy, a trzy kroki za nim, aplikant sądowy.

Kancelista szeroko otworzył drzwi do biura sędziego i uniżonym ukłonem powitał przełożonych. Marynarz również się podniósł i nieśmiało się ukłonił. Tylko idjota pozostał na miejscu i uśmiechał się słodko i łagodnie.

„Dziś mamy sprawę Franciszka Hołubowa", gorliwie oświadczył kancelista, kładąc akta na stole.

„Tak, tak!" mruknął sędzia, tęgi, barczysty człowiek, podczas gdy sapiąc rozbierał się ze swego palta.

Aplikant, młody blondyn, efektownie uśmiechnięty, szybko i zręcznie zdjął palto i kalosze i pośpieszył do swego biurka. Młodzieniec ten na jesieni dopiero powrócił był z wojska, trzymał się prosto, jak struna, ruchy miał szybkie i sprężyste i, ogółem wziąwszy wywierał wrażenie marjonetki na drutach.

Wobec tego, że lekarze rzeczoznawcy dotąd się nie zjawili obydwaj panowie zabrali się do pracy. Sędzia rozwinął świeży arkusz bibuły i wielkiemi nożycami począł wycinać pasy do swojej suszki, aplikant, po dłuższym namyśle wyjął z kieszeni scyzoryk i powoli, uroczyście niemal czyścił sobie paznogcie.

O godzinie 10-ej w przedpokoju powstał ruch; wezwani lekarze, rzeczoznawcy przyszli.

Starszy, wysoki blondyn, w którym na pierwszy rzut oka, zamiłowanego myśliwego poznać było można, młodszy bledszy, w binoklach i o bardziej uczonym wyglądzie. Tytułowano go profesorem, podczas, gdy starszego w zawodzie kolegę, tylko radcą.

Bezpośrednio po przywitaniu, radca począł wymyślać na niskie opłaty rządowe i przekonywać sędziego, że na dzisiejszej komisji nic prawie nie zarabia. Profesor z szacunkiem przyłączył się do wywodów starszego kolegi, wskazując ogólnikowo, jak słabo rząd wynagradza wykwalifikowanych swych urzędników.

Sędzia obydwom panom przyznał zupełną słuszność. Wkrótce zaczęła się ogólna gawęda o taksach, pensjach i urzędach. Wspomniano i o ostatnich awansach, w końcu radca, natura raczej wesoła, opowiadać zaczął anegdotki z których najgłośniej śmiał się afektowany aplikant.

W trzy kwandranse na jedenastą powstała pauza i wówczas przypomniano sobie nagle o celu zebrania.

„A więc zaczynajmy!" podniósł się zrezygnowany sędzia i kazał sobie podać akta.

Przebiegłszy je szybko, machnął ręką i rzekł niedbale. „Eh, stróż uliczny i to już raz internowany; nie zabierze on nam dużo czasu!" Usadowiono się w około stołu z zielonem suknem.

Aplikant uroczyście podszedł do drzwi i poważnym głosem zawołał:

„Franciszek Hołubow, proszę wejść!"

Wepchnięty przez kanacelistę wszedł marynarz, z wezwaniem ojca w ręku. Nieśmiało ukłonił się obecnym i miętosząc czapkę w ręku, nieufnie i bojaźliwie im się przyglądał.

„Czy pan jest Franciszkiem Hołubow?" krzyknął na niego sędzia, wyrywając mu z rąk wezwanie.

Hołubow nieśmiało potwierdził.

Obydwaj lekarze przyjrzeli mu się bystro, poczem radca pierwszy oświadczył: „Typowa twarz kretyna, niema się nad czem zastanawiać!“

Profesor z uprzejmym uśmiechem potwierdził zdanie starszego kolegi. Marynarz chciał coś odpowiedzieć i usta otworzył, ale sędzia przerwał ostro: „proszę teraz milczeć i podejść do okna!“

Skonfundowany, jednakże przyzwyczajony do surowej dyscypliny, usłuchał i kołyszącym krokiem podszedł do okna.

„Czy kolega widzi dziwnie charakterystyczny jego chód?“ szepnął radca.

Profesor radośnie skinął głową i śpiesznie zapisał obserwację.

Podsądny, który się przy oknie odwrócił, ra... ące chciał przemówić, ale zniecierpliwiony sędzia krzyknął: „Czego tam znowu? później pan będzie gadał!“

Jednocześnie radca rozkazał: „Siadaj pan tutaj!“ i wskazał krzesło.

Franciszek Hołubow usiadł.

— „Proszę założyć nogę na nogę!“

Marynarz coraz bardziej zdziwiony usłuchał.

— „Otóż tak“, — rzekł lekarz, podchodząc do niego i ostrzem potężnej dłoni trzy razy uderzył w okolice kolana.

Noga marynarza kilkakrotnie podskoczyła.

— „Uważa kolega“, — zwrócił się radca do profesora „podwyższone refleksy?“

Profesor poważnie skinął głową, aplikant zaś rzekł z dziecinnym podziwem: „Jakie to zajmujące!“

Tymczasem Franciszek Hołubow coraz bardziej się zdumiewał. Spojrzał bezradnie wokoło, poczem powoli i pokornie przemówił: „Proszę, wysoki Sądzie... Ale i tym razem nie dano mu dokończyć.

— „Wiele pan ma lat?“ pytał radca usadowiwszy się znowu pomiędzy profesorem a sędzią.

Podsądny namyślał się chwilę, jak większość ludzi, których niespodzianie o wiek pytają, poczem odparł: „35, moi panowie“.

Sędzia stwierdził w aktach, że podsądny ma 56 lat.

— „No tak“, poklepał go jowialnie po ramieniu radca „ma pan słuszność ujmując sobie lat, wygląda pan jeszcze młodo; zwracając się zaś do profesora zauważył: „Zdarza się to często, że ci ludzie wiek swój zapominają“.

— „Oczywiście, że się zdarza, a nawet jest znamiennem przy początkach paraliżu!“ Profesor śpiesznie zapisał notatkę, poczem chcąc i ze swej strony przyczynić się do podniesienia ducha podsądnego, złożył ręce, popatrzał przez błyszczące szkła badawczo na marynarza i zapytał: „Powiedz mi szybko kochany przyjacielu wiele jest 9 $\times$ 17?“

— Hołubow się stropił. „9 $\times$ 17“ wyjąkał „9 $\times$ 17...?“ Zmięszał się nagle i poczerwieniał.

— „Ależ kolego!“ oburzył się radca, „jakże on to może złożyć, kiedy nawet wieku swego nie pamięta!“

W chwili zaś, gdy Hołubow, po męczącem wysiłku skończył mnożenie i chciał powiedzieć rezultat, radca zaskoczył go nowem pytaniem: „Czy to pan koło Tryjestu wpadł do morza?“

Marynarz ożywił się. Lubił opowiadać o swoim wypadku, chwalił się nim poniekąd.

— „Tak“, odparł, to ja. Stało się to już przed kilkoma tygodniami. Pragnąłem z łodzi sznurową drabiną dostać się na okręt, przyczem wyślizgnąłem się, i z wysokości czterech metrów wpadłem do morza!“

— „Czy było zimno?“ pytał radca ze współczuciem, gdyż metodą jego było iść pozornie na rękę ideom rzekomych warjatów.

— „No chyba!“ odparł marynarz „w grudniu, proszę, ja pana“...

— „Prawdziwe szczęście, że pan umie pływać!“

— „Tak, to było szczęście!“ uczciwie przyznał marynarz „i tak miałem dość kłopotu, by się wydostać!“

— „No naturalnie!“ Radca spojrzał podstępnie na swoją ofiarę. „Ależ powiedz mi pan, skąd pan właściwie dostał się do Tryjestu, kiedy pan jest stróżem ulicznym!“

— „Ależ ja wcale nie jestem stróżem ulicznym! Piętnaście lat służyłem na okręcie i niedawno dopiero wróciłem do domu!“

— „Co też pan wygaduje! Tu w aktach napisane, że pan jest stróżem ulicznym“.

— „Stróżem ulicznym jest mój ojciec!“

— „Nadzwyczajny wypadek, zwrócił się radca do profesora: Człowiek, który wmawia w siebie, że jest własnym swoim synem!“

— „Niesłychane!“ dziwił się profesor. Poruszę to w następnym numerze gazety lekarskiej; nowa, ciekawa forma obłędu“.

— „I za nic sobie tego nie da wyperswadować“, ciągnął radca.

— „Ależ nie! gwałtownie zaprotestował marynarz, ja wpadłem do morza!“

Ogólna powstała wesołość.

Radca wybuchnął homerycznym śmiechem, profesor zaś poszedł za przykładem starszego kolegi. Śmiał się również i sędzia okręgowy, a druciany aplikant szeroko otworzył gębę, jak to u oficerów w pułku zauważył i wydawał krótkie afektowane dźwięki śmiechu.

Wesołość zwiększyła się jeszcze, gdy marynarz oświadczył: „Może mi panowie jedn... nie wierzą, to mam wszak przy sobie paszport“ i zaczął go szukać po kieszeniach.

— „A pokaż że go pan, pokaż!“ trząsł się ze śmiechu radca.

— „Oto jest!“ rzekł Hołubow, który nareszcie znalazł w ukrytej kieszeni paszport.

Na chwilę śmiech przycichł.

— „Naprawdę paszport!“ rzekł radca, oglądając dokument i podał sędziemu.

— „I naprawdę na imię Franciszka Hołubow“, odparł sędzia, oglądając go nieufnie.

Ale aplikant sądowy, który z rąk sędziego wziął legitymację, genjalny miał pomysł:

— To pewno paszport jego syna. Na imię mu również Franciszek i służy na okręcie. „Prawda“, zwrócił się do rzekomego idjoty, że to paszport syna pańskiego?“

— „Przepraszam“, odpowiedział ten niechętnie; synem jestem ja sam, ojciec stoi jeszcze w sieni“.

— „No, to już zbyt idjotyczne!“ wykrzyknął radca, a swobodna uwaga wysokiego urzędnika wywołała nową salwę śmiechu, zagłuszającą wszelkie zapewnienia marynarza, iż on właśnie wpadł do morza, a ojciec jest idjotą, aż w końcu nie mogąc sobie dać rady marynarz podskoczył do drzwi i zawołał ojca.

Wśród ogólnej wesołości wszedł stary idjota i pijanym ukłonem powitał zgromadzonych. Gdy spostrzegł tyle roześmianych twarzy, idjotyczny grymas ust zwolna zmieniać mu się począł w śmiech rzeczywisty, aż w końcu ryknął wielkim głosem, jak na odpuście.

Wówczas jednak tamci umilkli.

Powstała krępująca cisza i tylko idjota śmiał się niefrasobliwie, aż wreszcie sędzia, który domyślać się zaczął pomyłki, huknął staremu nad samym uchem:

— „Więc to pan jest idjotą?"

Stary pijak przestał się śmiać i łagodnym głosem odparł: „Nie!" przyczem wesoło mrugał oczkami.

— „A więc kto u pioruna jest idjotą?" unosił się sędzia w najwyższej pasji.

Obydwaj podsądni grzecznie zaprzeczyli.

Sędzia krzyczał i wymyślał, aktami w stół uderzał, aż się kartki na wszystkie strony rozsypały.

Druciany aplikant schylił się i skrzętnie pozbierał pojedyncze części aktu Hołubowa!

Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężona, aż wreszcie radca położył koniec wątpliwościom i wskazując na starego, oświadczył: „Ten nim jest! Wszak to typowa twarz kretyna!"

W tej chwili wesoły kancelista, który przez cały czas pilnie przy drzwiach podsłuchiwał i ani jednego słowa z rozmowy nie uronił, z dużym wysiłkiem opanował wybuch śmiechu. W porę jednak przypomniał sobie, że jest na służbie i zdusił wzbierającą wesołość w politycznem chrząknięciu urzędnika państwowego.

Kartki z humoru

RZECZ DO POMYŚLENIA

— Pomyśl pan tylko! cztery pokoje z wszystkiemi wygodami za 60 złotych miesięcznie!

— Co? gdzie?

— No, nigdzie... ale pomyśl pan tylko.

NASZE DZIECI

Mamusia (uspokaja swego synka): — No, cicho, cicho, tatuś dał ci w skórę, ale to dlatego, że cię kocha, że pragnie twego dobra.

Synek: — Tak, a dlaczego mamusi nie bije? Mamusię też przecież kocha.



W BIURZE

Szef: — Panie Próżniacki, niech mi pan, przyniesie swoją fotografję, chciałbym ją postawić sobie w ramkach na biurku.

Urzędnik: — Ależ panie szefie, za cóż tyle zaszczytu?

Szef: — Bo pan tak rzadko bywa w biurze, że nie chciałbym zatracić w pamięci rysów pańskich.